TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 20. *Chicago, Ills., 11 Listopada, 1886 r.* Rok III.

DAMIAN RUSZCZYC

POWIEŚĆ

— Z —

CZASÓW JANA III.

— PRZEZ —

FRYDERYKA hr. SKARBKA.

(Ciąg dalszy.)

To rzekłszy wrócił szybko na miejsce, i żądał z niecierpliwością aby jemu i Ruszczycowi broń nabitą jak najprędzej doręczono. Lecz dowódzca dragonów rozkazał im zsieść z koni i porwać Mondora i rzekł:

— Ja nie mogę mieć żadnych względów na życzenie WPana; przybyłem tutaj wypełnić rozkaz N. Pani i onemu zadosyć uczynię.

Mondor widząc, że musi uledz przemocy, zbliżył się żywo do Ruszczyca, schwycił go mocno za rękę i rzekł:

— Panie Brygadyerze, jeden z nas dwóch miał zginąć w tym pojedynku; pamiętaj na ten warunek: gdziekolwiek się pierwszy raz spotkamy, będę gotów wypełnić go w każdym momencie, i podobnegoż od Waszmości mam prawo się spodziewać. Prędzej czy później zdo-

łam cię przekonać, iż umiem poszukiwać doznanej obelgi.

— Dobrze, — odparł Ruszczyc, oddając mu ściśnienie ręki — wszędzie i zawsze Ruszczyc służyć ci gotów.

A później obrócił się do Jordana, i patrząc za oddalającym się Mondorem dodał:

— Patrzaj! pierwszy raz się pokazał tak, jak człowiekowi uczciwemu przystoi; nie myślałem nigdy, że i w takiej duszy zapał rycerski kiedykolwiek wzniecić się może.

Nazajutrz po tem zdarzeniu wysłała królowa Mondora za granicę, ażeby odebrać Ruszczycowi wszelką sposobność wykonania mściwych zamiarów, i przeciąć wątek tych plotek, które ją samą narazić mogły. Obok tego wydała rozkaz poszukiwania sądownie Ruszczyca, i wszelkich użyła wpływów, ażeby w ziemstwie pożądany wyrok wyjednać. Poczem wyjechała do Grodna, biorąc ze sobą Maryą.

Ruszczyc radby był pospieszył za niemi do tego miasta, dokąd go ważne sprawy pospolite wabiły, lecz włożone pozwy i pewność, iż przez powolność łatwiej się usprawiedliwić lub ułaskawienie monarchy uzyskać potrafi, sprzeciwiły się jego oddaleniu ze stolicy, w której spokojnie sądowego rozstrzygnienia sprawy oczekiwać postanowił.

Dnia pewnego wrócił z audyencyi sądowej mocno zagniewany do swego mieszkania; milczał ciągle i z nikim widzieć się nie chciał. Gdy w głębokiem zamyśleniu samotnie przy oknie siedział, wpadł do izby wierny Kulik cały zaperzony, z okiem mocno podbitem i z podartą odzieżą i rzekł:

— Panie! a niechże Pan poskromi tych hołyszów, bo im sam rady dać nie mogę.

— Gdzie i kogo? — zapytał zdziwiony Ruszczyc.

— Tutaj o kilka kroków, w tej szynkowni na rogu. Ot jak mię zbili i poodzierali, alem i ja nie żałował, tylko że ich było za wielu; ale niech Pan pozwoli mi wziąść więcej ludzi na pomoc, to ja ich poskromię i tego obiboka ich pryncypała przed Pana przyprowadzę.

— Co ty pleciesz? — zawołał Ruszczyc zrywając się z gniewem; — nie dość żeś się dał pobić pijanemu, ale jeszcze śmiesz hultaju wpadać tu do mnie jak opętany, i mięszać mnie do twoich szynkownych sprawek.

— Panie! — odpowiedział Kulik z mocą, bijąc się ręką w piersi, — ja Panu wiernie służę i takem dziś trzeźwy jak ryba w wodzie; a jeżeli mi się włosów nadarli, jeżeli oka ledwo nie wysadzili z głowy, wszystko to dla tego się stało, że ja Pana kocham i żem zawsze gotów zginąć za niego.

— Cóż to znowu takiego? — zapytał łagodnie Ruszczyc; toś ty się bił za mnie; a to dla czego i z kim?

— Ja wszystko Panu opowiem, ale niech tylko wprzódy skończę z tamtemi gałganami, i niech mi Pan da pomoc, żebym im mógł dać radę.

— Nie, powiedz wprzódy o co rzecz idzie, a potem zobaczę, co czynić wypadnie.

— Oto tak.... Ale oni tymczasem uciekną.... No, oto tak.... krótko powiem, jak najkrócej. Poszedłem sobie zwyczajnie napić się piwa, bo mi się pić chciało, bo dzisiaj parno, kto wie czy nawet deszcz nie będzie padał; wchodząc do szynkowni, zastałem kilkunastu dworskich, którzy w pliszki grali. Co mi tam do waszych pliszek, pomyślałem sobie, jeszczeby mnie tak tłukli jak tego, co oto chłopem został, bo najtęższy hajduk był właśnie podstarościm. No i tak minąłem ich i usiadłem sobie na ławie. Zawołałem na szynkarkę, a ona postawiła kufel piwa przedemną, ja sobie piłem spokojnie.

— A za cóż cię pobili? — przerwał zniecierpliwiony Ruszczyc.

— Zaraz Panie, jeszcześmy tam nie doszli. Ja sobie tedy piłem piwo spokojnie i nic nie mówiłem tym dworskim. W tem wchodzi jakiś wysmukły, cienki, w kontusiku przy szablinie, właśnie kiedy jednego za pliszki bili. Przybliżył się do grających i powiedział:

— Oto to, bijcie a dobrze, bo ja lubię na to patrzyć, a zwłaszcza kiedy z rozkazu sądowego pachołki baty liczą.

— Co to za jeden? — pomyślałem sobie, — co on też dalej powie? Aż on zawołał, piwa! i powiada:

— Uschło mi dzisiaj w gardle, bo dużo spraw było i nakrzyczałem się: „Panowie strony uciszcie się!"

— Ano, to do Wać Pana panie woźny, — powiedział któryś dworski i podał mu kufel piwa.

— Mniejsza o to co pili albo mówili —

przerwał znowu Ruszczyc; — powiedz tylko jak ci się te guzy dostały.

— Ten woźny, bo to był jeden od sądów ziemskich, zaczął się tedy, krótko mówiąc, rozwodzić nad sprawami, jakie dzisiaj odsądzono, i w końcu powiedział:

— Skazaliśmy jednego szlachcica na grzywny i na sześć miesięcy wieży, i z tego się najbardziej cieszę, bo to jeszcze szlachcic od dworu królewskiego.

— A to który? — zawołali wszyscy, jakby im co do tego było.

— A tenci, — odpowiedział mój woźny, — co to przed kilkoma dniami chciał Francuza zabić.

To mówiąc, poważył się niecnota nazwisko pańskie tym hołyszom wyjawić. Jakem to usłyszał, było mi tak naprzód, jakby mnie kto zimną wodą oblał, a potem tak, jakby mi był gorącego oleju w gardło nalał; zerwałem się z miejsca, wywróciłem, bom pchnął nogą, stolik z dzbanem piwa; poszedłem prosto do woźnego, zajrzałem mu brzydko w oczy, i zapytałem o kimby mówił?

— A tobie co do tego? — odpowiedział.

— Co mi do tego? — ja mu znowu na to: — tyś gadał o moim panie, tyś śmiał powiedzieć, że on pójdzie na wieżę?

— I cóż z tego? — powiedział woźny i usunął się nieco odemnie, właśnie tyle, ile potrzeba było, ażebym miał większy zamach. Ja też niewiele myślący, jak go trzasnę w pysk, to się aż nogami przykrył. Zerwałci się niedługo, dobył szabliny, przyskoczył do mnie, alem ja ją kijem z garści wytrącil i byłbym mu dał pamiętne na jaki miesiąc, gdyby ci pliszkowi nie byli mu przyszli w pomoc i ci mię też właśnie tak poturbowali.

— Nie było za co brać plagi — rzekł Ruszczyc; — lepiejbyś był zrobił, gdybyś się do tego wszystkiego nie był mieszał, bobyś teraz podbitego oka nie miał.

— Co? ja? — odpowiedział żywo Kulik — jabym miał siedzieć jak gap za stołem, kiedy kto pana mego szkaluje! to się na mnie nie pokaże i choćby mi mieli drugie oko jeszcze lepiej podbić, to się tam jeszcze wrócę, i ten skóranabóty pozna, jak ja biję, kiedym zły.

— Dobrzećto, mój kochany — odpowiedział Ruszczyc, — że się za twoim panem ujmujesz, ale nie chodź już do szynkowni, boby się z tobą źle skończyło.

— Jakże, proszę Pana, — rzekł Kulik — kiedy on powiedział, że Pan na wieżę skazany.

— Ha, cóż robić? — odpowiedział Ruszczyc, ruszając ramionami — on prawdę mówił i trzeba się będzie podobno tam przenieść.

Na te słowa cofnął się Kulik parę kroków w tył, załamał ręce, i patrząc na pana z wyrazem smutku i zadziwienia, rzekł:

— Co? Panie mój kochany! ciebie, Panie, skazali na wieżę, ciebie, którego nasz król tak kocha! tegożeśmy się doczekali Panie, po tak długiej wojaczce, po tylu ranach pod Wiedniem i na Bukowinie otrzymanych! Nie, to król o tem nie wie, on tego nie kazał, znać że go tu nie ma, boby on na to nie pozwolił. Wielmożny Panie, niech Pan siada i pisze duchem list do króla, ja pójdę tymczasem okulbaczę siwosza i zaraz pojadę do Grodna, i pójdę do króla i tak mu powiem: że oto list od Wielmożnego Pana, że pilny, bo chcą mego Pana ukrzyżować. Niech Pan pisze, ja exnunc pojadę i niedługo się wrócę.

— Dobrze stary — odpowiedział na to Ruszczyc z rozrzewnieniem — jeszcze nie teraz będę twojej usługi potrzebował; muszę się wprzódy namyśleć co mi czynić wypadnie, a ty bądź spokojny, nic się twemu Panu nie stanie, wszakże mnie Pan Bóg już nie raz ze złej przygody wybawił.

Zamilkł Kulik, spuścił ponuro oczy i po chwili namysłu wyszedł mrucząc z pokoju.

Trzeciego dnia po zapadnięciu wspomnionego dopiero wyroku, wszedł do mieszkania Ruszczyca, niemałe w nim wzbudzając zadziwienie, Wota, i kłaniając mu się najuniżeniej, przeprosił go na samym wstępie za to, że go śmie nachodzić i że się może stanie natrętnym. — Ale — dodał powtarzając uniżony ukłon, — przychodzę ja stósownie do powołania mojego pocieszyć strapionego i przynieść, jeśli można, ulgę jego cierpieniom.

— Dziękuję bardzo — rzekł Ruszczyc, oddając mu ukłon uprzejmy lecz obojętny, i zaprosił go do zajęcia miejsca, poczem mówił dalej:

— Moje strapienie nie jest tak ciężkie, bo mam sumienie czyste, a powody mego postępku są tak słuszne, iż pewny jestem uniknąć suro-

wości wyroku, odwołując się do łaski królewskiej.

— Bez wątpienia — odpowiedział Wota; — zwłaszcza że Wy jesteście tak dobrze położeni u Najjaśniejszego Pana, iż się przychyli do wszelkiego życzenia Waszego. Ale nim to nastąpi, moglibyście doznać jakiej nieprzyjemności, gdyby sąd chciał naglić o wykonanie wyroku, a jakiego jeszcze wyroku!.... — dodał składając ręce i wznosząc je z wyrazem zgrozy do góry.

— Cóż robić? — odpowiedział obojętnie Ruszczyc — prawa krajowe są takie, trzeba im się poddać.

— Prawa? — rzekł żywo Wota — i Wy to wierzycie, że Was prawa pokonały? Wy się macie pro jure victo? a wielużto innych toż samo prawo omija? wielużto bezkarnie nietylko wyzywa, ale zabija ludzi w pojedynkach? A Wy jedni z pomiędzy wszystkich macie paść ofiarą srogości ustawy wydanej dla tych tylko, których z góry potępić pragną!

— Ja Was nie pojmuję, — rzekł Ruszczyc, patrząc na Wotę z podziwieniem — wyżeścieto ten potajemny niegdyś posłannik królowej, który mnie do podstępnego działania nakłaniał? Wy, co na skinienie panów swoich wszystko wykonać gotowi jesteście, Wy dzisiaj poważacie się litować nad losem potępieńca? Wy się oburzacie na surowość, której on się stał ofiarą?

Na te słowa uniósł Wota głowy do góry i rzekł z wyrazem zmyślonej godności:

— Nie dziwię się temu, że tak źle o mnie sądzicie, boście wówczas, kiedym Was chciał nakłonić do sprzyjania widokom królowej, powodów moich uznać nie chcieli, i odtąd odemnie zawsze stronili; lecz wiedzcie teraz, iż mój sposób myślenia najczystszemi zawsze pobudkami jest powodowany. Ja we wszystkiem, cokolwiek przedsiębiorę, mam jakiś cel wyższy, i gdy dobro ludzkości lub bliźniego serce moje zajmuje, działam według przekonania, mało na to zważając, czy się ludziom przedsiębrane przezemnie środki podobają. Jeżelim wówczas chciał Was nakłonić do tajemnego wyśledzenia zamiarów przeciwnej dworowi strony, uczyniłem to w tym celu, ażeby zbliżyć zwaśnione umysły i oddalić przyczyny niechęci monarchy ku narodowi; a ponieważ nie można było pokonać złośliwych, nie znając ich zamiarów, doradzałem użyć mniej godziwego środka, aby tylko cel pospolitego dobra osiągnąć. Jeżeli zaś dziś do Was przychodzę, idę w tem tylko za natchnieniem zgrozą przejętej duszy; chcę dobrze uczynić bliźniemu bez względu, co na to potwarcy mówić będą. Wiem ja o tem, że ten krok mój nie ujdzie baczności zawistnych mi ludzi, że oni, znając wyraźną niechęć królowej ku osobie Waszej, potępią samę bytność moją u Was, doniosą gdzie wypadnie o znoszeniu się mojem z Wami, ażeby mi szkodzić przed Najjaśniejszą Panią; lecz ja im na to odpowiem otwarcie, że jestem i będę Waszym przyjacielem, i że pomimo wszelkich zabiegów nienawiści, choćby w obec samych Monarchów niewinności Waszej bronić będę.

— A, dziękuję Wam uniżenie za te oświadczenia przychylności pełne, ale rozumiem, iżbyście się niepotrzebnie narażali na jaką niełaskę w tej mojej sprawie, którą ja sam załatwić potrafię.

— Nie, — rzekł żywo Wota — nie spuszczajcie się na to, że Wam łatwo będzie ujść prześladowania; bliższym ja jestem świadkiem wszystkiego co się działo, i wiem co przeciwko Wam uknowano.

— Cóż można było knować; — odpowiedział Ruszczyc — królowa kazała popierać sprawę przeciw mnie, a sędziowie musieli wydać wyrok z ustawami zgodny.

— I Wy to z tak zimną krwią o tem mówicie, — rzekł zakładając ręce Wota — jak gdyby Wam przyjemnie być mogło przepędzić pół roku w więzieniu; bo o tem możecie być pewni, że ta sama ręka, która Wam cios dotkliwy zadać chciała, potrafi wstrzymać tego, któryby Wam chciał ulgę uczynić, lub łaskę wyświadczyć. Nie ufajcie tak bardzo łasce królewskiej, bo ja wiem lepiej co z Wami uczynić postanowiono.

— I cóż takiego? — zapytał żywo Ruszczyc.

— Gdybym był takim, za jakiegoście mnie dotąd mieli — rzekł nieco ciszej Wota — tobym powinien zamilczeć teraz; lecz dla tego, ażebyście mnie lepiej poznali i ażeby Wam dać dowód ufności, jaką w Was pokładam, powiem Wam: że królowa postanowiła niedopuścić do króla żadnej prośby Waszej o ułaskawienie, bo wie o tem dobrze, iżbyście je otrzymali, zwłaszcza, że i wyrok Was potępiający w niewłaściwem forum jest wydany, gdyż wtenczas nie

było już sądów marszałkowskich, kiedy Was o wyzwanie Mondora poszukiwać zaczęto.

Na te słowa zamyślił się nieco Ruszczyc, spojrzał śledczem okiem na twarz Woty, i widział w niej wyraz godności i szczerości. Po chwili milczenia rzekł:

— Smutne jest położenie moje, gdy mi przychodzi paść ofiarą prześladowania, albo stać się przyczyną zgryzoty dla mego króla. Dziękuję Wam za to ostrzeżenie; będę z niego korzystał i sam pdjadę do Grodna za Najjaśniejszym Panem.

Na to uśmiechnął się z politowaniem i ruszył ramionami Wota, mówiąc:

— I Wy myślicie jechać do Grodna nie pomnąc na to, iż nimbyście wyjechać zdołali, wyrok banicyi na Was wykonany zostanie!

— Banicyi! — zawołał Ruszczyc zrywając się ze stołka. — Jabym miał bez względu na moje zasługi w ojczyźnie być odsądzonym od czci i wiary i stać się tułaczem w obcym kraju?

— Czemu nie? — odpowiedział spokojnie Wota — byleby tylko złośliwość zamiary swoje wykonać mogła; bo Was ostrzegam, że się spodziewają tego, iż się do króla w podróż wybierzecie i że już są wydane rozkazy pojmania Was w tym razie i postąpienia z Wami, jako osobą opierającą się prawomocnym wyrokom.

— Więc się już wszystko zprzysięgło na moją zgubę! — zawołał Ruszczyc z uniesieniem — i nikt mi w pomoc nie stanie?

— Nie rozpaczajcie jeszcze — rzekł Wota przystępując do niego i ściskając mu serdecznie rękę; — ten, któregoście tak źle osądzili, chce Was przekonać o swojem sercu. Dziś jeszcze odjeżdżam do Grodna: piszcie w ten moment suplikę do króla, a ja Wam ręczę za pomyślny skutek próśb Waszych.

Wykonał Ruszczyc co mu doradzono, i ściskał, doręczając list, tę rękę, która mu cios zabójczy zadawała, a Wota umiał zachować wyraz godności na twarzy póty, póki on na niego patrzał; lecz uśmiech uradowanej złości zajął jego miejsce, skoro tylko próg mieszkania przestąpił.

Dalszy ciąg nastąpi.)

JAN PŁUŻEK.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

NAPISAŁ

MIECZYSŁAW Z POZNANIA.

I.

Za panowania króla Bolesława Krzywoustego, a zatem przed 750 laty mieszkał niedaleko Cieszyna, na kilku morgach ziemi wolny kmieć nazwiskiem Jan Płużek. Był to człowiek spokojny, trzeźwy, zgodny z sąsiadami i żoną, pracowity; a w czasie, w którym się powieść nasza zaczyna, liczył 25 lat, i od półtrzecia roku był żonatym. Mieszkał razem ze swoim słabym ojcem, pracował i za niego i za siebie, a kochana żona Hanusia wspomagała go w pracy. W nie-

dzielę tylko, że to dzień Boży, wszyscy odpoczywali; wtedy po skończonem nabożeństwie albo szli do sąsiadów na gawędkę, albo najczęściej sąsiedzi odwiedzili dom Janka i jego ojca Wojciecha. I teraz że to była niedziela, zeszli się do niego, rozmawiali o deszczu co przeszkodził robotom w polu, opowiadali o dawnych czasach, a Hanusia kołysała drobnego chłopca i śpiewała mu:

Urośnij Stasiu, sprawię ci sukienkę,
I pójdziesz z królem razem na wojenkę,
Będziesz bił wrogów naszej polskiej ziemi...

gdy właśnie w tę chwilę wszedł Marcin, sąsiad Janka, lecz tak smutno wyglądał, że obecni go zapytali:

— Cóż wam Marcinie?

— Źle, mili sąsiedzi, — odrzekł Marcin — właśnie przejeżdżał przez wieś goniec królewski, co pędził do kasztelana cieszyńskiego, i ten powiadał, że Zbigniew, brat naszego króla Bolesława, Niemców sprowadza na Polskę. Cesarz zebrał podobno 200,000 knechtów i wyruszył przeciw nam, by zniszczyć nasz kraj i podbić.

Posmutniały wszystkich twarze, głęboko westchnęli za biedną zagrożoną ojczyzną, i cicho się zrobiło w izbie Jankowej; — dziecię w kołysce tylko zakwiliło, a Hanusia uspakajała jedynaka temi słowy:

— Nie płacz Stasiu, nie płacz, król Niemców nie puści do kraju, i ty skoro lat dojdziesz, z królem na wojnę też pójdziesz po ojczystym zwyczaju, bronić swego kraju.

Tak szeptała Hanusia swemu maleńkiemu Stasiowi, a starsi uparnie milczeli. Dopiero po chwili ktoś zagadnął:

— Nie mówił wam Marcinie ów posłaniec królewski, co zamyśla uczynić Bolesław?

— Owszem, — odrzekł Marcin — powiadał, że Bolesław co teraz walczy z Pomorzanami, ma wkrótce wrócić do kraju, obwołał wojnę przeciw Niemcom, a każdy zdolny do broni ma wyruszyć w pole. Lecz cóż to pomoże? Część wojska będzie Bolesław zmuszonym zostawić na Pomorzu, a nowego ani połowy, ani czwartej części tego nie zbierze co cesarz niemiecki. Chociażby naszych, prócz tych co zostaną na Pomorzu, zebrało się 50,000, to Niemców cztery razy tyle. Daremny więc rozlew krwi, szkoda ludzi co padną w boju.

— Nie gadalibyście Marcinie — przerwała żona Janka — że ludzi szkoda, to prawda, lecz dla dobra kraju niczego nie należy żałować; a kto zginie w obronie ojczyzny, kto za nią krew swą przeleje, prosto idzie do nieba, bo taki i Bogu i ludziom się przysługuje.

Janek, który na pierwszą wiadomość o grożącej wojnie, stał jak skamieniały, teraz na słowa żony rozjaśnił czoło, uchwycił Hanusię za rękę i rzekł:

— Słusznie masz Haniu, to wojna za niepodległość naszą, to wojna święta, wojna za ojczyznę! Do obozu, do obozu nam wszystkim iść trzeba; kto ma dość sił i zdrowia, powinien spieszyć do obrony swoich, gdy z wolą Bozką takie dopuszczenie na nas przychodzi.

I przestał mówić, a głos jego donośny rozległ się poza obręb chaty, odbił się echem o wzgórza i lasy, i rozniósł po siołach.

Lecz po chwili jeden z sąsiadów temi odezwał się słowy:

— Mówisz mój Janie, że każdy powinien iść, lecz z nas jak tutaj jesteśmy, któż pójdzie? Czy porzucisz zagrodę, ojca starego, żonę i syna, którzy potrzebują pracy rąk twych? Czy zostawisz ich tutaj, by przez czas, w którym bić się będziesz, pomarli z głodu?

Wypogodzone oblicze Janka na nowo się zasępiło a łza mimowoli zakręciła się w oczach, spojrzał na dziecko w kołysce, na siwego, schorzałego ojca, na kochaną żonę, westchnął głęboko i rzekł:

— Tako jednak iść trzeba do obozu. Jeśli zginę na wojnie, Bóg o sierotach nie zapomni, bo to wojna za wolność i całość ojczyzny. Przecież prędzej niż syna, niż żonę, miałem ojczyznę. Rodzice dali mi życie, lecz matka-ojczyzna mnie wychowała, chlebem swych pól i łanów wykarmiła, wełną swych owiec odziała, językiem swych dzieci mówić i myśleć nauczyła.

Ścisnął silniej rękę żony, wejrzał na przytomnych, co czując słuszność słów jego patrzali nań z wyrazem poszanowania; a siwy Wojciech, ojciec Janka, co dotąd stał zadumany, tak się odezwał:

— Idź mój Janku dokąd cię wzywa potrzebująca ojczyzna i król, pobłogosławię ci na drogę, a chociażbym miał umierać z głodu, podziękuję Bogu, że moje jedyne dziecko krew swoję przelewa za ojczyznę. Lecz bądź spokojnym, Bóg co lilie polne przyodziewa, a karmi ptaszęta, o nas nie zapomni — doda mi sił

bym stary, schorzały, pochwycił sochę w rękę i bym...

— Tego to już nie będzie potrzeba, — odezwał się Michał Grzęda, ja wam w obecności sąsiadów przyrzekam, dopomagać w gospodarstwie. Za stary jestem, bym szedł na wojnę, lecz jeżeli Janek pójdzie, chętnie i za niego i za siebie popracuję. Przyrzekam pamiętać o was Wojciechu, o Jankowej Hanusi i synaczku, jak o własnej rodzinie.

Dobry przykład zwyczajnie zaraz drugich za sobą pociąga; to też wszyscy przyrzekli dopomagać Michałowi w pracy nad zagrodą Janka. Długo jeszcze gwarzyli, a słońce dawno już zaszło, gdy się rozeszli do domów. Za cztery dni miał Janek pożegnać chatę rodzinną może na zawsze. Tęskno mu się zrobiło na sercu, bo taka natura ludzka. Przez te cztery dni chciał Janek uporządkować gospodarstwo, pokończyć wiosenne zasiewy, z któremi i tak już z powodu deszczów się opóźnił, chciał przywieźć kilka fur drzewa, by przynajmniej do zimy starczyło, i mnóstwo drobnych znalazło się robót. Dobrzy sąsiedzi mu dopomagali, i jakoś wszystko pokończył. Zdarzyło się tu, że ścinając drzewo w lesie napotkał na krucze gniazdo; nie myśląc wiele nad tem co robi, wziął z gniazdka jedno młode i zaniósł do domu, aby mały Stasio miał zabawkę. Mały kruczek starannie pielęgnowany przez Hanię, ładnie się odchował i jak o tem się później przekonamy, niejedną przykrą chwilę skrócił całej rodzinie.

Tak wśród zajęcia szybko przeszły cztery dni, i czas był największy, by wyruszyć z domu. Kilku młodych parobczaków na wiadomość, że Janek wychodzi na wojnę, postanowili razem z nim wyruszyć. Tym sposobem gdy wychodzili ze wsi, było ich sześciu, a mieszkańcy całej wioski odprowadzali ich aż za kopce graniczne błogosławiąc na drogę. Starsi i poważniejsi ze łzami w oczach, dziewczęta śmiejąc się żartowały po cichu z parobczaków, a niedorosłe chłopce zazdroszcząc im że nie mogą walczyć za ojczyznę, żegnali odchodzących. Hanusia zanosząc się od płaczu, który daremnie ukryć chciała, zaledwie ujść mogła; i stary Wojciech, chociaż ze łzą w piersiach, lecz na pozór wesoły, tak ich pożegnał na rozstajnej drodze:

— Idźcie śmiało walczyć z wrogami naszej ziemi, brońcie ojczyzny od najazdu i ciemięztwa. Odważnie idźcie na śmierć, może was Opatrzność Bozka od niej uchroni, może oswobodziwszy ojczyznę zdrowi wrócicie do domu, może jeszcze Janek zamknie mi powieki.... Lecz pamiętajcie i ty i twoi towarzysze, byście nigdy nie uciekali z pola bitwy, bo taki z zajęczem sercem lepiejby został w domu, niż tam swoją ucieczką popłoch miał wzniecać. Śmierci nie potrzeba się obawiać, ona tutaj każdego lada chwila trawić może. — Moje ojcowskie błogosławieństwo niechaj zawsze z tobą Janku i z wami innymi będzie.

Ukląkł Janek, ucałował spracowaną, drżącą od starości rękę ojca, uściskał jego kolana, ucałował żonę i synaczka; toż samo uczynili jego towarzysze ze swymi krewniakami, i milcząc poszli, oglądając się na dachy rodzinnej wioski. Pod Krakowem zbierały się wojska polskie, złożone z Krakowiaków, Sandomierzan i Ślązaków; Poznańczycy i Kaliszanie zbierali się w Gnieźnie; Łęczyczanie i Mazowszanie w Łęczycy. Ślązk, jak to niezawodnie wie każdy, należał wówczas do Polski, a Ślązacy też jak prawi Polacy, tę swoją matkę kochali.

II.
Wojna z Niemcami.

W drodze do królewskiego obozu, czyli właściwie do Krakowa, różne wieści dochodziły do uszu Janka i jego towarzyszy. Jedni opowiadali, że Bolesław, pojechał do cesarza, prosząc o pokój, inni, że uciekał na Ruś, czy nawet na Tatarszczyznę, inni znowu opowiadali o gromnem wojsku, jakie Bolesław zbiera. Zwyczajnie ludzie bajali, a nigdzie nie mógł się Janek dowiedzieć prawdy. Z tego tylko, że we wielu wsiach i miasteczkach, przez które przechodził, ci co wyszli do wojska, jeszcze nie wrócili, przekonywał się, że Bolesław zbiera wojsko. Nie zważając więc na niczyje gadania, zaszli do Krakowa. Wielkie to było miasto i prawie wspanialsze niż teraz, a pierwszy raz się tam znajdował. U mieszkańców dopytał się o zamek kró-

lewski — a był na tem samem miejscu co dzisiaj, tam nad Wisłą, na górze Wawel. Na tej samej górze jest kościół św. Wacława wstąpił więc naprzód do domu Pańskiego na krótką, lecz szczerą modlitwę, poczem skierował do mieszkania króla.

Cisza panowała w zamku Bolesława, z miasta tylko gwar, a z nad Wisły cichy śpiew dochodził. Weszli zatem i Janek i jego towarzysze do pierwszego pokoju, lecz gdy po półgodzinnem czekaniu nikt nie wychodził, zostawił Janek swych towarzyszy, a sam wszedł do dalszych pokojów. W piątym dopiero zeszedł się z jakimś bogato ubranym mężczyzną, a ten go zapytał, kogoby w zamku szukał.

— Naszego króla Bolesława; odpowiedział Janek.

— A może by kto inny mógł Waści interes załatwić? — pytał nieznajomy, bo król mocno zajęty wyprawą wojenną. Waszeć lepiejby może zrobił, by miasto szukać spraw jakich, poszedł z królem na wojnę — przecież zdolnych broń dźwignąć wzywał król do obrony zagrożonej ojczyzny.

— Też właśnie dla tego tutaj przyszedłem i chcę razem z królem... — mówił Janek; a ów nieznajomy przerwał mu, klepiąc go po ramieniu:

— Chwat z ciebie kochanku, lecz do tego nie potrzeba króla. Nasz Bolesław nie ma teraz tyle czasu, by z każdym rozmawiał. Chcesz wstąpić do wojska, zaprowadzę cię do pisarza królewskiego, ten cię zapisze do rejestru, pośle do wojewodzkiej kancelaryi, a tam wskażą pułk, w którym masz służyć. Lecz powiedz mi Waszeć, z których stron Pan Bóg prowadzi?

— Ja od Cieszyna — rzekł po swojemu Janek, gdy nagle drzwi się otworzyły i do pokoju, w którym był Janek z owym nieznajomym, wszedł sam król Bolesław. Ojca narodu uderzyła śmiała postać Janka, wejrzał nań bystro i zapytał:

Czy do mnie, twego króla, masz mój synu jaką sprawę? może ci co dolega, a może chcesz razem zemną pójść na wojnę przeciw Niemcom?

— Tak, miłościwy królu, na głos wzywającej do broni ojczyzny porzuciłem starego ojca, młodą żonę, jedynaka i chatę rodzinną, przybiegłem do Krakowa razem z pięciu towarzyszami prosić mego kochanego króla, by nas przyjął do swych szeregów, aby nam pozwolił walczyć przeciw nieprzyjaciołom Polski i Waszej Królewskiej Mości.

— A zkądeś to mój kochanku? — spytał łaskawie król.

— Z części Polski, co ją Śląskiem zowią, ze wsi Ciepliny w kasztelanii cieszyńskiej — odpowiedział Janek.

— O was Ślązaków, — mówił Bolesław, — głównie teraz idzie, cesarz niemiecki zamyśla oderwać Śląsko od Polski, was dzieci polskiej ziemi zniemczyć, lecz dopóki żyję, dopókąd miecz w ręku otrzymam, daremnemi jego usiłowania. Raczej z wami razem zginę, niż jednego z mych poddanych dobrowolnie oddam w ręce nieprzyjaciół. Lecz powiedz, któż cię namówił, abyś tutaj szedł?

— Nikt, najłaskawszy królu, sam czułem, że zrodzonemu w części Polski należy bronić ojczyzny. Na pierwszy odgłos twego rozkazu, by się każdy stawił na wojnę, porzuciłem wszystko co mi jest drogiem, bo matce-ojczyznie wszystko się należy.

Taka odpowiedź mocno ucieszyła króla, ucałował Janka w głowę i rzekł:

— Dzielny z ciebie wiarus, bodajby się wszyscy tacy na Ślązku, w Krakowskiem, Poznańskiem i innych Polski ziemiach rodzili! Otóż zamiast co miałbyś służyć w pułku ślązkim, teraz razem z twoimi pięciu towarzyszami, bo pewnie takie jak ty chwaty, będziesz służył w moim królewskim pułku, pod moim okiem; — a obracając się do owego nieznajomego, dodał:

— Waszmość, panie kasztelanie, wskaż im drogę do mojej kancelaryi i wykonaj co przyrzekłem.

Ucałował rękę królewską Janek i poszedł za kasztelanem do bióra, gdzie go do pułku królewskiego zapisano.

Przytoczyłem tę rozmowę Janka z królem Bolesławem, byście poznali moi mili czytelnicy, jak dobrym, łagodnym, przyjacielskim był ten król Bolesław, i chociaż dosyć licznem dowodził wojskiem, przed swoim zamkiem nie miał żadnej straży. Kto chciał, mógł przyjść do zamku króla Polski, uskarzyć się przed ojcem narodu, a król wymierzał sprawiedliwość, rozmawiał ze swymi poddanymi, nie zważając czy kto pan, czy ubogi, każdy miał wstęp do zamku. Za przykładem króla, co w swych poddanych widział bliźnich, postępowali inni. W dawnej Polsce,

dopókąd naród był jednolity, t. j. dopókąd wszyscy mieszkańcy byli Polakami, prawie nie było różnicy stanów, a chociaż i wtedy byli panowie, była równość w obliczu prawa i wolność. Dopiero później, gdy inne narodowości zaczęły się cisnąć do Polski, weszła różnica między chłopem a panem, lecz w pierwszych wiekach istnienia Polski nie było różnicy. Szlachcicem nazywano tego, co albo sam albo ojciec jego w szlachetnej obronie kraju krew swą przelał. Dopiero niemieckie zwyczaje zaczęły odróżniać szlachtę od mieszczan i chłopów. Ale i dzisiaj wiedzą Polacy, że każdy, niech się zowie jak chce niech się rodzi z pana czy chłopa, byle jak prawy Polak kochał swą ojczyznę, byle myślał po polsku, równym jest i największemu panu. Lecz wróćmy się do Janka i jego towarzyszy. Otóż skoro ich wpisano w poczet wojskowy, dostali broń i mieszkanie z towarzyszami, czyli jak to mówią kwaterę. Nie znano zaś podówczas jeszcze ani prochu, ani strzelb ognistych, ani dział, lecz strzelano ostremi strzałami z silnych łuków, a zamiast bagnetów używano długich pik — a do rozbijania murów używano machin jak tarany, kusze itp.

(Dalszy ciąg nastąpi).

GAWĘDZIARZ.

CORKA CIESLI.

podanie indyjskie.

(Dokończenie.)

Tulizie pozwolono odejść łaskawie i zaprowadzono ją do przygotowanego dla niej pokoju, gdzie wkrótce spokojnie zasnęła i po raz pierwszy od rozłączenia śniła o swoim mężu.

Następnego dnia przyniesiono jej duży dzban pełen rozmaitych nasion z rozkazem ażeby z tego zrobiła dla królowej strój taki, jakiego jeszcze żadna księżniczka nie nosiła.

Tuliza przebrała wszystkie ziarna co do jednego i nie znalazła żadnego drogiego kamienia; lecz w tym razie przyszły jej na pomoc wiewiórki. Zjawiły się w znacznej liczbie, a każda wzięła kilka ziarn z dzbanka, kładąc na ich miejsce dyamenty najczyściejszej wody. Tuliza, obdarzona poczuciem piękności i gustem, ułożyła wszystko bardzo zręcznie a królowa, na wpół rozgniewana że nie mogła nic zganić, tak się udobruchała na widok przepychu i wytworności korony, iż nową służebnicę pochwaliła.

Schroniwszy się do swego pokoju, nie mogła wszelako zasnąć. Mała wiewiórka, nie odstępujęca jej ani na chwilę, bardzo była niespokojna; kręciła się i póty targała Tulizę za jej suknię, aż ją skłoniła do wyjścia z pałacu do lasu, gdzie wszystkie wiewiórki zdawały się być w wielkim kłopocie, i przestrachu. Tuliza usiadła pod drzewem, zamknęła oczy i pilnie przysłuchiwała się obradom zwierzątek. Wkrótce też dowiedziała się, że ich wróg wspólny Sarkasukis znajduje się w pobliżu i że jego dostaniu się do zamku może przeszkodzić jedynie paleniem pewnych ziół, których dym zabijającym jest dla tego rodzaju duchów. Lecz działanie tego dymu miało ją także pozbawić dalszej pomocy wiewiórek, należących do tego samego rodzaju duchów co Sarkasukis, który przywłaszczył sobie panowanie nad niemi. Odtąd więc od jej przezorno-

ści wyłącznie zależało wszystko a szczególniej rozbicie planów przeciwnika, który w prawdzie nie zdoła przedrzeć się w powietrze napełnione zabojczemi dla niego dymami, ale potrafi może poruszyć inne tajemne siły byle cel swój osięgnąć. Kilka dni miało jeszcze upłynąć, nim mógł się wylęgnąć „huma"; przez ten czas zatem Tuliza powinna była czuwać bacznie i nieustannie.

Wedle tych rad, Tuliza powinna wykadzić cały zamek; to też gdzie tylko mogła postawiła urnę z palącem się zielem i mieszała dym z ową wonią cudną, tak działającą przyjemnie na królowę wężów i jej otoczenie.

Nakoniec, spadająca już prawie ze zmęczenia i z obawy usłyszała lekkie pukanie w jajku i wkrótce młody „huma" wykłuł się ze skorupy. Przymocowała go łańczuszkiem złotym, do ręki, co rzeczywiście było zbytecznym, gdyż ptak dziwnie przywiązał się do swej pani i nie byłby się pozwolił od niej rozdzielić za nic w świecie. Na jej piersi wzrastał nie do uwierzenia szybko, a gdy jedna z niewolnic czesała włosy królowej, zerwał się nagle, siadł na jej ramieniu i od razu wydzióbał oczy zielonemu wężowi, którego moc czarnoksiężka tak długo i tak strasznie panowała.

Królowa matka widząc dobrze, że cała jej potęga runęła, krzyknęła przeraźliwie; mury zamku zadrzały a Surkasukis, we właściwej swej postaci niezgrabnego, pękatego djabła, padł obciążony kajdanami na podłogę komnaty, podczas gdy tłumy geniuszów, uwolnionych wiewiórek i zastępy wiernych węży wprowadzały prawdziwego pana Basnak-Daua. Prosta odzież Tulizy zmieniła się w szaty królewskie, „huma" otoczył jej głowę brylantową koroną i stała się teraz żoną godną jednego z najpotężniejszych duchów, którym jest dano pod pewnymi warunkami rządzić niewidzialnemi dla oka ludzkiego krainami.

Nic nie może iść w porównaniu z radością, która rozweseliła wszystkie okolice zamieszkałe przez „peri" i inne wdzięczne i dobroczynne geniusze, podczas gdy złe duchy czuły się prawie całkiem zgnębionymi przez upadek Sarkasukisa i królowej matki. Lecz wesele nigdzie nie było większe jak w chacie Nur-Singha i jego żony. Nigdy nędza nie dokuczała dwojgu ludziom bardziej jak im, a gdy po raz pierwszy miasto źle upieczonego chleba z grubej mąki ujrzeli na stole dymiący półmisek ryżu, przyprawionego owocami drogiemi i korzeniami, wtedy domyślili się że Basnak-Dau odzyskał swoją potęgę.

KONIEC.

Anioł Pański.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

— PRZEZ —

BAKAŁARZA Z LWIGRODU.

(Ciąg dalszy.)

To mówiąc, ujął pan Sztolce Kazimierza za rękę, a ten uczuł, że mu coś wcisnął w dłoń; lecz nim się spostrzegł, pryncypał jego oddalił się. W ręku jego pozostał liścik; rozwinął go Kazimierz i znalazł w nim dwieście talarów i te słowa:

— Na krawca i szewca. — Oczekujemy po obiedzie.

Kazimierz nie wiedział co czynić, chciał pójść i oddać pieniądze, lecz wstrzymał się, bo wiedział, żeby się pan Sztolce mocno tem obraził, i znowu rodzice stanęli mu przed oczyma!

Ach! biedny był bardzo Kazimierz!

Siadł więc do biura i dalej pracował. Wpół godziny później ktoś cichaczem wszedł do kantoru; obrócił się Kazimierz i ujrzał człowieka jakiegoś nieznajomego przed sobą, za którym stał chłopiec trzymający dość duże zawiniątko. Zapytał się, kimby był i czego sobie życzył?

Ten odrzekł:

— Jestem Sznajder, właściciel magazynu sukien mężkich; właśnie był u mnie posłaniec od pana Sztolcego, oświadczając, że pełnomocnik jego pan Berdysz, któremu mam zaszczyt się prezentować życzy sobie mieć natychmiast ubiór podług najświeższej mody. Przyniosłem co mam najwyborniejszego i najgustowniejszego: oto spodnie! Nawet nie mojej roboty, lecz prosto z Paryża sprowadzone; oto frak najostatniejszej mody, jaki tylko na książęcych pokojach widzieć można; oto kamizelka! przypatrz się pan sam, że to arcydzieła sztuki krawieckiej. Wszystko z pewnością do wzrostu i objętości pana stósowne. No! ja przysięgam, że w tym stroju pan oczy całego świata na siebie zwróci! Odnoszę to wszystko na górę do pana, rachuneczek załączony, ale wcale nie nagli. — Uniżony sługa! polecam się łaskawym względom!

I nie czekając odpowiedzi, pan Sznajder oddalił się z chłopcem.

Kazimierz odurzony sam nie wiedział, co się z nim dzieje; pokręcił głową, siadł znowu do bióra, i dalej pracował. Zaczęli przychodzić kupcy i inni ludzie z interesami, było wiele i innych rzeczy do załatwienia, a tak pracą zajęty Kazimierz zapomniał o bileciku z pieniędzmi, o krawcu i jego fraku. Dopiero w południe, gdy powrócił do swego pomieszkania, pierwsze. co mu tutaj pod oczy podpadło, to były rzeczy porozkładane przez krawca Sznajdera. Zrazu obojętnie na nie spojrzał; potem zbliżył się do nich, brał je do rąk, oglądał i przypatrywał im się bliżej; i właśnie trzymał frak w ręku, kiedy się drzwi otworzyły i ukazała się głowa służącego państwa Sztolców.

— Ach! przepraszam pana, pan się ubierasz? to dobrze bo właśnie przychodzę od pana Sztolcego prosić pana.

Kazimierz tedy prawie bezprzytomnie i machinalnie tylko, a z widoczną niechęcią zaczął się przebierać. Nie patrzał wcale w zwierciadło, bo obawiał się ujrzeć nie siebie ale kogoś obcego. Ubrał się, i poszedł do państwa Sztolców.

Tam zastał pokoje suto wystrojone, wiele gości płci obojej i różnego stanu, kupców, urzędników, z pomiędzy których kilku było mu znajomych. Przywitano go nadzwyczaj uprzejmie. Pan Sztolce wziął go pod rękę i przedstawiał wszystkim z osobna. Żona jego bardzo mile go przyjęła, i powiedziała mu cichaczem, że teraz przedstawia się jej, jako człowiek pojmujący potrzeby i postęp wielkiego świata; i dodała, że nawet w oczy mu to powie, iż z całego towarzystwa jest najprzystojniejszym mężczyzną. — Pan Sztolce wziąwszy go na stronę, rzekł:

— Ho ho! z pana człowiek niebezpieczny! Dzisiaj zakasujesz mi tu całą młodzież! Widzisz pan, że prawda, co ja mówiłem, że krawiec i szewc to grunt! Zobaczymy jak się na koniu popiszesz!

Panna Wilhelmina, zbliżywszy się ukradkiem do Kazimierza, spuściwszy oczy szepnęła:

— Panie Kazimierzu, aż się gniewam, że panu tak we wszystkiem do twarzy, — wszakże wolałabym go widzieć tak jak wczoraj, a nie w tej fraczynie. Zlituj się, kochany Kazimierzu, pan Kurcer, który chce przed światem grać rolę mego narzeczonego, zniewolił moich rodziców do przyjęcia dziś podwieczorku w jego pałacyku za miastem. — Skazaną jestem na to, żeby jechać wraz z matką w jego towarzystwie; siądź pan na wierzchowca mego ojca, a jedź przy nas, nie odstępując na chwilę, bo mnie się zdaje, że umrę z nudów po drodzę! Czy odmówisz mi tego?

— Życzenie pani jest mi rozkazem, odrzekł Kazimierz.

— A czemuż także nie życzeniem? dodała ciszej Wilhelmina. — Ależ oto i on; nie zapomnij o mojej prośbie.

Rzeczywiście pan Kurcer ująwszy matkę pod rękę, przysunął się do p. Wilhelminy, podał jej drugie ramię, i sprowadził do swego powozu; gospodarz z resztą pań i poważniejszymi gośćmi zajął kilka jeszcze pojazdów, a młodzież, między nią i Kazimierz, dosiadła kilku rączych koni.

Ledwo wyjechali na żwirówkę prowadzącą do Szarlotenburga, gdy konie wystraszone widokiem wielbłąda prowadzonego przez jakiegoś Włocha, zarżały, uderzyły w bok, spięły się jak dęby, a wyrwawszy lejce, ze słabych rąk pana Kurcera, puściły się jak dwie z jednego wystrzelonego łuku. Pani i panna Sztolce krzyczały z przestrachu, przechodnie załamywali dłonie, bo każdy był pewien, że pojazd w powietrzu się rozkruszy, albo o pierwsze rozbije drzewo, — młodzież jadąca konno, przerażona tym wypadkiem, krzykiem swym i narzekaniem rozbiegane konie tylko więcej jeszcze straszyła. Jeden Kazimierz ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, zaciął rumaka, jak wiatr pognał za nieszczęśliwymi, — dopada, w biegu chwyta za cugle rozpędzone konie, — ale w tej chwili, gdy te stają, popręg u siodła Kazimierzowego pęka, koń wyrywa się z pod niego, tak że Kazimierz spada pod podręcznego konia, który go nieco wlecze, a wreszcie niebezpiecznie nadeptuje. Kazimierz widział tylko jeszcze nadbiegających ludzi, słyszał jakiś krzyk niewieści — i stracił przytomność.

Kiedy Wilhelmina z matką i panem Kurcerem w rozpędzonym siedziała pojeździe, śmiertelna bladość okryła jej lica; konwulsyjnie chwyciła się poręczy siedzenia, i była bez przytomności prawie. Lecz kiedy widziała, że ktoś chwyta za opuszczone lejce, że sam pod konie pada, i gdy w tym nieszczęśliwym wybawcy poznała Kazimierza: wydała okrzyk rozpaczy, a nie dbając o matkę, której nadbiegli ludzie i pan Kurcer pomogli wysiąść z pojazdu, rzuciła się na ciało młodzieńca, którego tymczasem z pod koni wydobyto, a widząc go bez życia, konwulsyjnie zapłakała.

Darmo pan Kurcer prosił, żeby chorego lub może trupa zanieść już do jego domu, nalegał, żeby tym przypadkiem, smutnym wprawdzie, ale przecież nie tak mocno wszystkich dotykającym, nie psuć sobie zabawy; darmo przedstawiał, że przecież lekarz zrobi co swego; darmo inni młodzieńcy namawiali do dalszej jazdy, chcąc zatrzeć plamę okazanego tchórzostwa, — panna Wilhelmina stanowczo rzekła, że nikt jej od Kazimierza nie zdoła oderwać. — Pan Sztolce, chcąc pokryć cały wypadek, który zdradził uczucia jego córki, sam uznał za konieczną, żeby powrócić, a pan Kurcer domyśliwszy się wszystkiego, nie nalegał już więcej, lecz zresztą młodzieży pojechał do siebie pocieszyć się po wypadku, który zdawał mu się dostatecznie dowodnić płonności własnych jego około Wilhelminy zabiegów.

— Szkoda wydatków, pomyślał sobie, a do tego tylu jeszcze świadków mej niezręczności i przegranej!

Chorego i bezprzytomnego Kazimierza złożono w lektyce, — państwo Sztolcowie towarzyszyli niosącym go do domu, a umieściwszy go w jego mieszkaniu, niezwłocznie lekarskiej zawezwali pomocy. Po całogodzinnych dopiero usiłowaniach pierwszy raz ocknął się chory; promień nadziei wstąpił w serca otaczających. Pan Sztolce kobietom polecił chorego, a sam zbiegł do fabryki, gdzie obecność jego była teraz konieczną, i gdzie smutny przypadek, który Kazimierza spotkał, już był doszedł do uszu wszystkich robotników. Porzuciwszy robotę, otoczyli opowiadającego sługę, i z żywem współczuciem wypytywali się o wszystkie szczegóły.

Północ była, gdy Kazimierz odzyskał przytomność. Ujrzał się na swojem łóżku; pokój był słabo oświetlony; obok niego siedziała pani Sztolce, łzy z oczu ocierająca; przy łóżku klęczała panna Wilhelmina, trzymając jego rękę w swej dłoni; lekarz w nogach łóżka z zegarkiem w ręku liczyć się zdawał chwile życia jego.

— Jest nadzieja, szepnął nareszcie.

— Więc jest nadzieja! krzyknęły kobiety, utopiwszy wrok w mówiącym; „więc żyjesz, panie Kazimierzu! — och! Bogu za to dzięki.

— I Pannie Najświętszej, jęknął chory; ach! jakże mnie pragnienie pali, — o! moi rodzice! — a ujrzawszy panią Sztolce i jej córkę przy sobie, odezwał się do nich:

— I panie ciągle przy mnie? Czemże się im odwdzięczę?

— Nie mów o tem, panie Kazimierzu, odrzekła pani Sztolce, tyś nas dziś od niechybnej uratował śmierci, — nie odstąpimy cię, aż nie minie niebezpieczeństwo.

— Aż nie wyzdrowiejesz zupełnie, dodała córka; ale oto lekarstwo, przyjm je z rąk moich, panie Kazimierzu. Oby moja ręka była tak cudowną, jak twoja, kiedy nas ze śmiertelnego wybawiła niebezpieczeństwa; bądź dobrej myśli, wszystko dobrze będzie.

Kazimierz wziął lekarstwo, wyrzekł kilka słów podziękowania i niedługo zasnął.

— Dobry znak — mówiła matka.

— Dobry znak, powtórzył i lekarz; potłuczone wprawdzie nieco piersi i ręka zwichnięta, ale za miesiąc będzie zupełnie zdrów.

Panna Wilhelmina wyprawiwszy matkę do łóżka, sama została przy chorym z jednym tylko służącym; noc całą przesiedziała w sąsiednim pokoju.

Przez dni kilka Kazimierz był tak mocno słabym, że powątpiewano nawet o jego powrocie do zdrowia. Już tydzień mijał, a zaledwie znać było jakąś poprawę. Przez cały ten czas matka z córką na przemian go pilnowały.

W końcu drugiego tygodnia, kiedy Kazimierz już całemi godzinami czuwał, i mniej go męczyła rozmowa, wszedł nareszcie pan Sztolce i rzekł:

— Panie Kazimierzu! nie uwierzysz mi, jak boleję nad twoją chorobą. Nie myśl, żebym się tak bardzo martwił jedynie z powodu straty, jakiej mój zakład ztąd doznaje, choć i tam, niestety! znać twoją obecność, a interesów zasypiać nie można; ale żal mi szczerze, żeś właśnie ratując moję rodzinę szwank taki odniósł. — Dla tego przyszedłem ci oświadczyć, że mimo twojej choroby nie wytrącę ci nic z pensyi, zapłacę lekarza i aptekę, a nadto daruję ci sto talarów, które przyjmij jako dowód mej wielkiej wdzięczności! —

— Dziękuję panu serdecznie, odrzekł chory, a bądź pan przekonany, że gorąco się modlę do Pana Boga o zdrowie, abym ci w dwójnasób wynagrodzić mógł szkodę, jaka, ztąd dla stósunków twoich wyniknąć może.

— I wyszedł wspaniałomyślny pryncypał, — a niebawem weszła panna Wilhelmina.

— Cóż ci tu ojciec mówił? — zapytała. — Ach, on tak zajęty, że ledwo odwiedzić cię może; nie bierz mu tego za złe, panie Kazimierzu; ma on dużo przywiązania do ciebie, jak do nikogo może dotychczas.

Kazimierz powtórzył jej słowa pana Sztolcego, pochwalił bezinteresowność jego, i wyraził swą radość z powodu podarunku. Panna Wilhelmina zarumieniła się, usłyszawszy, że ojciec choremu wspominał o pracy, kiedy ten jeszcze ledwo władał członkami, — pojęła niestósowność nagradzania jego poświęcenia pieniędzmi, i jeszcze w tym stanie chorego, więc rzekła:

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

Podczas tych wypadków wyszedł pułkownik Benedykt Arnold w wrześniu 1775 na czele 1000 ludzi z Cambridge, aby się udać do Quebec. Pamiętny jest pochód jego przez puszczę; przez trzydzieści i dwa dni nie widziano człowieka; śnieg pokrywał ziemię, lód strumienie i bagna, w które wpadywali Amerykanie często aż po za ramiona. Po rozmaitych trudach i znojach wśród zimna i głodu przybył Arnold bez armat z 750 półnagimi ludźmi, którzy posiadali w ogóle 400 strzelb tylko, do Point Levi naprzeciwko Quebec'u. Przebywszy rzekę św. Wawrzyńca, zajął wyżynę Abrahama i śmiało zażądał poddania się miasta. Gdy to jednak nie nastąpiło a dowiedziawszy się, że załoga zamierza zrobić wycieczkę, cofnął się do Point aux Trembles, 20 mil od Quebec i oczekiwał przybycia Montgommery'ego. Ten przybył w dniu 1 grudnia. W dniu 5 grudnia rozpoczęto oblężenie miasta Quebec. W dniu 31 grudnia, rozdzieliwszy małą swą garstkę (900 ludzi) na cztery oddziały, atakowano miasto ze wszech stron. Montgommery i adjutanci jego McPherson i Cheeseman zostali zaraz przy początku ataku zabici przez kulę kartaczową. Arnold został niebezpiecznie raniony a dowództwo nad jego oddziałem objął kap. Morgan, którego doświadczeni strzelcy wtargnęli do miasta, lecz zostali wraz z Morganem wzięci w niewolę. Bój wrzał kilka godzin; Amerykanie utracili 160 ludzi, Anglicy tylko 20.

Arnold cofnął się do Sillary, gdzie przezimował. Miejsce jego zajął później jen. Wooster, który także usiłował zdobyć Quebec, lecz nadaremnie. W maju objął naczelne dowództwo jen. Thomas; lecz Anglicy dostali tymczasem znaczne posiłki a w czerwcu nie było już ani jednego patryoty w Canadzie.

Podczas gdy patryotom tak źle się powodziło na północy, stały rzeczy w Virginii cokolwiek lepiej. Wspomnieliśmy już poprzednio, że Virginczycy wypędzili gubernatora królewskiego, lorda Dunmore. Ten mając flotę i zabrawszy kilka set zwolenników królewskich i murzynów zaczepił w dniu 9 grudnia milicyę virginską przy wielkim moście w pobliżu bagna „Dismal Swamp", lecz został pobity i z wielką biedą zdołał ujść do Norfolku, gdzie leżała flota. W pięć dni po tej bitwie zajęli Amerykanie Norfolk, lecz Dunmore rozjątrzony zapalił miasto, które zupełnie zgorzało. Dunmore rabował i palił przez niejakiś czas osady nad wybrzeżem, lecz widział się nareszcie zmuszonym ujść do zachodnich Indyj, zkąd, sprzedawszy murzynów, których miał przy sobie, udał się do Anglii.

ROZDZIAŁ III.

Drugi rok wojny o niepodległość (1776.)

Koloniści, dla których rok 1775 nie był zbyt korzystnym, zamierzali już poprzestać walki, lecz odważniejsi przywódzcy w senacie, jak i w

armii nie wachali się ani jednej chwili prowadzić ją dalej, zwłaszcza Washington podtrzymywał ducha wszystkich. W dniu 1 stycznia 1776 kazał wywiesić po pierwszy raz chorągiew amerykańską po nad obozem amerykańskim w Cambridge. We wszystkich koloniach okazał się następnie ruch wielki; poczęto budować flotę wojenną, bito pieniądze itd. Do tego czasu nie troszczył się parlament angielski o kolonistów, lecz poznawszy, że wielkie Anglii może grozić niebezpieczeństwo, oświadczył iż wszyscy powstańcy są buntownikami i ogłosił stan wojenny w koloniach. Nadto przeznaczył milion dolarów na powiększenie siły lądowej i morskiej i pożyczył od księcia Hasen — Cassel i innych małych książąt niemieckich 17,000 żołnierza, których wysłał do Amezyki.

Koloniści posiadali na końcu lutego około 17,000 żołnierza, i postanowili uderzyć na Anglików w Bostonie, których było tylko około 5000. W dniu 2 marca począł Washington bombardować Boston. W dniu 17 marca poddali się Anglicy. Koloniści zamiast ich wziąść w niewolę, pozwolili im popłynąć do Halifax.

Washington wiedząc, że Anglicy spodziewają się posiłków i obawiając się, że będą chcieli zająć New York, udał się z główną armią pod to miasto i począł budować w kwietniu twierdzę i sypać okopy. Jen. Lee zaś udał się do Carolinów, aby czuwać nad ruchami angielskiego jen. Clinton, który dostał z Anglii znaczne posiłki. Clinton uderzył w dniu 28 czerwca na Amerykanów w Sullivan Island. Przez dziesięć godzin wrzała walka, a gdy noc nadeszła odstąpili Anglicy od ataku. Utracili 225 ludzi, Amerykanie zaś mieli tylko dwóch zabitych i 22 rannych. W dniu 31 czerwca odpłynęli Anglicy do New Yorku — przez dwa lata nie toczyła się już walka nad rzeką Ronaoke. Zwycięztwo na Sullivan Island napełniło serca patryotów nową otuchą.

Kongres zasiadający w Philadelphii pracował stale. Uznając, że już za daleko postąpiono, poczęto prawić o zupełnej niepodległości. W dniu 7 czerwca przeczytał Ryszard Henryk Lee następujący wniosek:

„Złączone te kolonie są wolnemi i niezależnemi stanami i mają prawo niemi być; przysięga poddaństwa Anglii zostaje zniesioną i wszelkie polityczne węzły z Anglią zostają i mają być zerwane".

Wielu obawiało się tak śmiałego kroku, i dla tego odłożono debaty na później, lecz komitet, na którego czele stał Tomasz Jefferson, wypracował uchwały, które z małemi poprawkami przez Benjamina Franklin zrobione i przyjęte zostały. W dniu 4 lipca 1776 na południe oświadczyli reprezentanci 13 kolonij, iż są wolnymi i niepodległymi, a kolonie dostały nazwę: Zjednoczone Stany Ameryki.

„UNITED STATES OF AMERICA".

Deklaracyę tę podpisał nasamprzód John Hancock, prezydent kongresu. W dniu 2 sierpnia podpisało deklaracyę 56 reprezentantów, poczem została czytaną na zgromadzeniach publicznych, na ambonach i t. d.

Tymczasem udał się jen. Howe z Halifax do New Yorku. W dniu 2 lipca zajął Staten Island, gdzie się do niego przyłączył jen. Clinton i admirał Howe, brat jenerała. Później przybyli jeszcze Hessowie. Armia angielska liczyła 30,000 żołnierza, Amerykanie posiadali tylko 17,000 wolontaryuszów. Zamiarem Anglików było zająć New York i miejscowości nad rzeką Hudson, aby w ten sposób módz utrzymać komunikacyę z Canadą i odciąć patryotów nowo-angielskich od braci swych w południu. W dniu 22 sierpnia 1776 r. przeniosło się 10,000 Anglików z 40 armatami na zachodnie wybrzeże wyspy Long Island, wylądowawszy pomiędzy dzisiejszym Fort Hamilton i wioską Gravexend.

Washington usłyszawszy o tem, wysłał jen. Putnam z 5000 ludzi przeciw nieprzyjacielowi. Anglicy postępowali naprzód w trzech oddziałach, lewy pod jenerałem Grant postępował wzdłuż wybrzeża ku Gowanus; prawy pod Clintonem i Cornwallis'em do wnętrza wyspy, a środek, składający się z samych Hessów pod jen. De Heister, szedł ku miasteczku Flattbush. Clinton zajął już nad ranem 27 wąwoz Jamaica, tam gdzie dziś East New York leży, Grant był tam, gdzie się dzisiaj cmentarz Greenwood znajduje, a De Heister udał się do Flattbush, gdzie atakował amerykańskiego jen. Sullivan, który nie miał najmniejszej wiadomości o ruchach nieprzyjacielskich. Po zaciętej bitwie został Sullivan otoczony ze wszystkich stron i zmuszony poddać się. W tym samym czasie uderzył lord Cornwallis na jenerała Sterlinga i zmusił go także do poddania się. Amerykanie utracili 500 ludzi, i 1100 zostało wziętych w niewolę. Anglicy utracili w zabitych, rannych i więźniach 367 ludzi.

Jenerał Howe był pewnym, że i reszta Amerykanów na Long Island nie ujdzie, lecz Washington podczas wielkiej mgły udał się do jenerała Putnam, który o klęsce jeszcze nie wiedział, i przeprowadził go szczęśliwie z jego oddziałem do New Yorku.

W szeregach amerykańskich nie panowała wtenczas jedność, a wielu dowiedziawszy się o nieszczęśliwej bitwie na Long Island, opuszczało obóz Washingtona i udało się do domu. W dniu 12 września zwołał Washington radę wojenną, na której postanowiono przewieźć zasoby wojskowe w New Yorku na bezpieczniejsze miejsce i się okopać na pagórkach harlemskich. Anglicy wkroczyli do New Yorkn. W potyczce dwóch mniejszych oddziałów zwyciężyli Amerykanie, lecz utracili dwóch z najlepszych oficerów: pułkownika Knowlton i majora Leith. Howe widząc, iż nie jest w stanie zdobyć stanowiska patryotów, zamyślał odciąć ich od New Jersey i zarazem zająć im tył, i dla tego posłał trzy zbrojne okręty do Frog Neck nad rzeką Hudson, 12 mil od miasta odległego. Washington

spostrzegłszy to, pozostawił 3000 ludzi w Fort Washington i przeniósł główną kwaterę do wsi White Plains, gdzie w dniu 28 października stoczono potyczkę. Amerykanie zostali wypędzeni ze swych stanowisk i cofnęli się do pagórków w pobliżu North Castle, gdzie się obwarowali. Washington pozostawiwszy w miejscach obwarowanych znaczne załogi, udał się w dniu 12 listopada do New Jersey i złączył się z jenerałem Greene.

Tymczasem jen. Knyphausen w 5000 Hessów uderzył na Fort Washington i zdobył tę twierdzę, utraciwszy 1000 ze swoich. W dniu 16 listopada zostało 2000 Amerykanów wziętych w niewolę, poczem Cornwallis przebył rzekę Hudson i zabrał Fort Lee, które to miejsce Amerykanie opuścili pozostawiając wszystkie zasoby. Jenerałowie Washington, Putnam, Greene i Mercer uszli z wielką biedą niewoli.

Smutne to były dni dla Amerykanów; Washington musiał się wciąż cofać; Newark, New Brunswick, Princeton i Trenton zostały zajęte przez Anglików. Z szeregów amerykańskich uciekało wielu, a gdy Washington przekroczył w dniu 8 grudnia rzekę Delaware, nie miał więcej jak 3000 łachmanami okrytego żołnierza. Cofając się Washington przesłał kilka razy jenerałowi Lee w North Castle i jenerałowi Health w Peekskill rozkazy, aby opuścili swe stanowiska i z nim się złączyli. Pierwszy przybył dopiero gdy Washington się znajdował z tamtej strony rzeki Delaware, a drugi został w dniu 13 grudnia 1776 wzięty w niewolę. W tym samym czasie został Washington uwiadomiony, że Sir Piotr Parker zajął Rhode Island i zablokował flotę amerykańską w Providence. Przyszłość przedstawiała się Amerykanom w kolorach nader ciemnych.

Szczęściem dla patryotów było, iż jen. Howe był bardzo powolnym w swych operacyach. Przybywszy nad rzekę Delaware postanowił czekać aż ta zamarznie, poczem chciał przejść na drugą stronę i uderzyć na Philadelphię. Kongres i Washington korzystając z tego, zajęli się reorganizacyą wojska. W dniu 24 grudnia miał Washington znów armię 5 tysięczną, dobrze uzbrojoną i opatrzoną we wszystkie potrzeby.

W Trenton stało 1500 Hessów. Tych postanowił Washington znieść. W nocy z 25 na 26 grudnia przeprawił się przez rzekę Delaware w dwóch oddziałach i napadł nad ranem na nieprzyjaciela, który się niczego nie spodziewał. 50 Hessów zostało zabitych i przeszło 1000 wziętych w niewolę; oprócz tego zabrali Amerykanie mnóstwo amunicyi, żywności, broni i t. d.

Zwycięztwo to dodało znów otuchy patryotom. Washington, któremu nadano na 6 miesięcy władzę dyktatorską, postanowił zaczepić Anglików.

Takiem było położenie na końcu drugiego roku wojny o niepodległość.

ROZDZIAŁ IV.

Trzeci rok wojny o niepodległość (1777).

Tymczasem pracował kongres kontynentalny nieustannie. Już w marcu 1776 r. wysłał Sillas'a Deane z Connecticut do dworu francuzkiego o pomoc. Misya jego była dość szczęśliwą, gdyż uzyskał 15,000 sztuk broni i obietnicę, iż Francya przyśle pieniędzy i posiłki. Od czasu ogłoszenia niepodległości miały Stany Zjednoczone u dworu francuzkiego i u innych stałego posła. Kongres ustanowił także artykuły związkowe, które podczas całego przeciągu wojny okazały się wybornemi.

Cornwallis tymczasem, który już zamyślał udać się do Anglii sądząc, że powstanie ukończono po zwycięztwie amerykańskiem w Trenton, wrócił się z silnym oddziałem i rozłożył obozem niedaleko od Washingtona w pobliżu miasta Princeton. Będąc pewnym zwycięztwa i oczekując jeszcze więcej posiłków, odłożył atak. Washington widząc, że nie podoła Cornwallis'owi, postanowił wymknąć się z obozu nocą; ziemia jednakowoż była tak miękką wskutek deszczu i odwilży, że nie wiedział w jaki sposób zabrać swoje armaty. Szczęściem odmienił się wiatr i nastał tęgi mróz. Aby nie wzniecić podejrzenia u Anglików, pozostawił w obozie kilka placówek, które utrzymywały ognie w obozie. Cornwallis był niezmiernie zdziwiony, gdy spostrzegł że Amerykanie uszli. W tej samej chwili usłyszał grzmot armat. Washington bił się z oddziałem angielskim w Princeton. Już mieli Amerykanie uledz, gdy Washington sam na czele rezerwowego oddziału uderzył na Anglików i odniósł zwycięztwo. Washington wiedział dobrze, że Cornwallis przybiegnie z całą swą siłą; wiedział także, że żołnierze amerykańscy nie mieli przez 36 godzin żadnego odpoczynku i zaledwie trochę pokarmu — walka z świeżym nieprzyjacielem byłaby wypadła na jego niekorzyść — dla tego uszedł w jak największym pospiechu, a gdy Cornwallis przybył do Princeton, nie było tam już ani jednego powstańca. Washington cofnął się do górzystej okolicy w wschodniem New Jersey i użył krótkiego spoczynku, poczem skierował się ku Morristown, gdzie przezimował. Przez całą zimę niepokoił mniejszemi wycieczkami Anglików tak, iż w całym New Jersey, wyjąwszy w New Brunswick i Amboy nie było ani jednego Anglika ani Hessa.

(Dalszy ciąg nastąpi).